

# Pan Wesółowski i jego kij



BOLESŁAW PRUS

## Pan Wesółowski i jego kij

Pewnego dnia otrzymałem duży pakiet w szarej kopercie, zaadresowany: „Do rąk własnych...”, od L. Wesółowskiego”. Z rozpaczą pomyślałem, że znajdę rękopis noweli albo komedyjki; okazało się jednak, że jest to tylko list na kilkunastu arkusikach.

Oto co pisał jego autor:

„Mam do pana wielką prośbę; a że w zeszły piątek zwichnąłem sobie nogę, muszę więc skomunikować się z panem listownie. Nudzę się, bodaj czy nie pierwszy raz w życiu, ale strach! Jak się nudzę; mógłbym więc napisać list długi jak bandaż, którym mnie obezwładniono. Szanując jednak pański czas, postaram się być treściwym.

Przeczytawszy zdanie, że: ja mam do pana wielką prośbę — z pewnością zapytasz się: kimże jest ów petent? na czym polega jego prośba? I z jakiej racji nazywa ją wielką? Mam więc obowiązek odpowiedzieć na każdy taki punkt, a zarazem przytoczyć kilka szczegółów z mego życia, które objaśnią: dlaczego w wypadku na pozór drobnym muszę odwoływać się aż do pomocy dzienników?

I

— Kto więc jestem? — Powszechnie mówią, że jestem dobrym człowiekiem, i co prawda, ja sam nigdy nie doświadczam wyrzutów sumienia. Zresztą, jeżeli nawet budzi się kiedy w moim sercu jakiś łagodny niepokój, to nie dotyczy on, broń Boże, występków, ale... raczej... może — nie dość subtelnego pojmowania zobowiązań małżeńskich.

Pospieszam dodać, że skrupuły te nie są owocem mojej własnej natury: według mnie bowiem człowiek nawet powinien trochę grzeszyć, ażeby łaskawe niebo miało mu co przebaczyć. Na niesz... to jest na szczęście, jestem mężem kobiety doskonałej, pełnej taktu i surowości zasad; nie dziw więc, że musiałem trochę zarazić się rozmaitymi skrupułami, *nota bene*<sup>1</sup> — po trzydziestopięcioletnim pożyciu.

Czy jestem szczęśliwy? Nie i tak. Nadludzkie rozkoszy, o jakich pisują poeci, nie doświadczyłem w życiu; bo nawet miłość, jedyna rzecz, którą znam fachowo, piękniej mi dziś wygląda w pragnieniach, aniżeli w urzeczywistnieniu.

Ale też i nie znalazłem ciężkich zmartwień. Nigdy nie bankrutowałem, nigdy nie straciłem wielkiego stanowiska, a jeżeli na przykład umarł kto z bliskich, to zwykle zostawiał mi taki zapis w testamencie, że smutek z mojej strony byłby hipokryzją.

Żyję więc bez trosk i zbyt wielkich wymagań. Lubię zjeść nie dużo, ale smacznie, wypić jeden kieliszek wina — ale dobrego; w dodatku zaś nie robi mi przykrości przechodzenie od cygar do papierosów i odwrotnie. Lubię też w dobranym towarzystwie pogadać o polityce, albo zagrać preferans<sup>2</sup>; z rana czytam „Figaro”, do poduszki jaki świeży romans — i w trakcie tego zasypiam.

Zwykle nie śni mi się nic, a czasem — że mam lat dwadzieścia pięć. Niekiedy jednak (zwykle po rautach<sup>3</sup>, gdzie późno dają kolację) marzę — iż spadam z niezmiernej wysokości. Sny te zaliczam do największych przykrości w życiu i rzucam się wtedy, wołam i naturalnie budzę żonę, która, obawiając się zdenerwowania mnie, zapytuje słodko:

— Czy chciałeś czego, Ludwiku?

Przecieram oczy, skupiam uwagę i powiadam:

— Nie, duszko... Niczego...

<sup>1</sup>*nota bene* (łac.) — zauważ dobrze (zwrot wprowadzający ważną wtrąconą informację). [przypis edytorski]

<sup>2</sup>*preferans* — rosyjska gra karciana. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>*raut* — przyjęcie. [przypis edytorski]

— Boś tak krzyczał...

— Krzyczałem?... To pewnie przez sen. Śpij, duszko.

— Tak, mam spać, kiedyś mnie wybił ze snu... Pewnie nie zamknę oczu do rana... Ach! Te późne kolacje. Zawsze je musisz jeść. Nic nie dbasz o zdrowie...

I przez cały następny dzień słyszę wymówki (ale spokojne wymówki), że nie dbam o swoje zdrowie...

Tak na przemian śpiąc i czuwając, myślę nieraz, że naprawdę: „życie jest snem”. Bo i czymże jest moje dzieciństwo, kiedy od bony<sup>4</sup> dostawał klapsy w Saskim Ogrodzie? Czym pierwsza miłość, którą powziąłem właśnie dla tej samej bony, ale już wówczas, kiedy byłem w szkołach, a ona została guwernantką? Czym wreszcie wiek młodzieńczy, gdy byłem najlepszym tancerzem i — na cześć mojej sąsiadki, córki intendenta<sup>5</sup> wojskowego, uczyłem się grać na flecie?

Ta ostatnia umiejętność nawet dziś uprzyjemnia mi życie, a niegdyś omal że nie stała się dla mnie źródłem sławy. Wyobraź pan sobie, że miałem grać na flecie w koncercie amatorskim na cel dobroczynny. Zaangażowano mnie, zapowiedziano występ, nauczyłem się kilku arii. Ale — kiedy wszedł na estradę i spojrzałem na natłoczoną salę, opanował mnie taki strach, że zgrabiły mi palce i żadną miarą nie mogłem dmuchać we flet. Przyniesiono mi szklankę wina (zamiast wody), kilka życzliwych osób uderzyło brawo — wszystko na nic... Wino wypilem, ukloniłem się za oklaski, ale zadać we flet nie mogłem. Schowałem nawet na pamiątkę ówczesny „Kurier”, opisujący ten wypadek.

Pomimo melancholijnej zasady, że „życie jest snem,” nie mogę powiedzieć, ażebym nie posiadał wyższego celu. Jest nim — jakiegokolwiek, bodaj honorowe, stanowisko, co znowu łączy się z wymaganiami mojej żony.

Trzeba wiedzieć, że żona moja jest ściśle spokrewnioną z książętami X, i pochodzi z ambitnej rodziny, której członkowie zawsze piastowali jakieś urzędy kościelne, cywilne, albo wojskowe. Gdy się więc o nią oświadczyłem, zarzucono mi, że wprawdzie mam dobre ułożenie, talenta i ładny majątek, ale — nie posiadam stanowiska.

Naturalnie, że po takim *dictum*<sup>6</sup>, natychmiast podałem się na aplikanta w komisji spraw wewnętrznych i w następstwie połączyłem się z najdroższą Ewcią. Gdy jednak wkrótce po weselu trafiła mi się owa przygoda z koncertem, byłem tak złamany na duchu, że rodzina moja i Ewci (ażeby ochronić mnie od możliwego samobójstwa) namówiły nas do wyjazdu zagranicę.

Bawiliśmy<sup>7</sup> tam parę lat, wróciliśmy, wyjechaliśmy znowu; potem spadły na mnie troski ojcostwa, potem edukacja syna, wydanie za mąż starszej córki, i — tak jakoś czas zeszedł.

Dopiero po upływie trzydziestu lat żona moja przypomniała sobie, że ja koniecznie powinienem zajmować jakieś stanowisko.

Rozmowa nasza o tym przedmiocie odbyła się w szczególnych warunkach. Słońce zachodziło i w gabinecie mojej żony był już pomrok<sup>8</sup>. Ewcia siedziała na amarantowym fotelu, w czarnej sukni, mając z jednej strony palmę, z drugiej tamburek<sup>9</sup>, na którym haftowała mi pantofle. Zazwyczaj posągowo piękna, twarz żony wyglądała w tej chwili prawie surowo.

Spostrzegłszy ten wyraz, szybko przypomniałem sobie historię kilku dni ostatnich. Ponieważ jednak nie znalazłem nic w tych czasach, co bym sobie mógł wyrzucać, więc ogarnął mnie taki niepokój, że, usiadłszy na taburecie<sup>10</sup>, nie śmiałem ust otworzyć.

„Czy nie narobił kto jakich plotek?...” — myślałem, czując chłód na plecach, gdy tymczasem żona utopiła we mnie spokojne, lecz przenikliwe spojrzenie. Prawie nie mogłem oddychać.

— Mój Ludwiku — zaczęła Ewcia — mamy około 12, 000 rubli rocznie...

<sup>4</sup>*bona* — opiekunka do dzieci. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*intendent* — pracownik zajmujący się zaopatrzeniem. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>*dictum* (łac.) — dobitna wypowiedź. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>*bawić* (daw.) — przebywać. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>*pomrok* (daw.) — półmrok. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>*tamburek* — okrągły przedmiot, na którym rozpina się tkaninę przeznaczoną do haftowania. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>*taburet* — dziś popr.: taboret. [przypis edytorski]



— Jeżeli nie więcej... — wtrąciłem.

— Trochę nawet mniej.

— Z pewnością więcej — dodałem, czując, że budzi się we mnie duch sprzeczki.

— Wierz mi, że mniej — przerwała, gromiąc mnie oczyma. — Ja lepiej wiem.

— Może być.

— Otóż — ciągnęła Ewcia — mamy trochę mniej niż 12, 000 rubli rocznie, jedną córkę zamężną, drugą na wydaniu, a nade wszystko — syna, który już ukończył trzydzieści i trzy lata. Na pozór niczego nam nie brak, lecz mimo to nie jesteśmy ani szczęśliwi, ani spokojni.

— Ależ duszko...

— Nie zapieraj się — mówiła żona — bo nieraz widzę, jak ziewasz.

— Ja?...

— Ty, i ziewasz z nudów, z braku zajęcia — dodała, akcentując ostatnie wyrazy.

— I kiedy ty ziewasz, ja wdycham, myśląc, że przez tyle lat nie postarałeś się o jakie stanowisko, i że nasz syn, Mieczysław, całkowicie wstępuje w twoje ślady. Proszę cię, Ludwiku, zachęć Mieczysława własnym przykładem i o cokolwiek się postaraj. Tylu przecie znamy prezesów, a choćby wiceprezesów, dyrektorów i członków rozmaitych zarządów, iż doprawdy jest mi wstyd, że nie należysz do ich grona. Proszę cię, postaraj się o coś, a w takim razie troskę o Mieczysława sama wezmę na siebie.

W gabinecie zrobiło się jeszcze ciemniej. A kiedy podniosłem oczy na Ewcię i na amarantowym tle aksamitu spostrzegłem, że ma siwe włosy, nagle przypomniałem sobie moją matkę — i pierwszy raz w życiu pomyślałem, że Ewcia robi na mnie wrażenie ś.p. matki.

— Spełnię, co każesz, Ewciu — odpowiedziałem, całując ją w rękę.

Znalazłszy się w swoim pokoju, rzuciłem się na szezlong, aby podumać.

„Naturalnie, że Ewcia ma rację — mówiłem sobie. — Choćby dla dania przykładu Mieczysławowi (który w ostatnich czasach zaczął coraz częściej pożyczać ode mnie pieniędzy), muszę zająć jakieś stanowisko i pozyskać tytuł. Tym bardziej, że od wielu lat jakiegokolwiek stanowisko jest moim marzeniem...”

Tu przerwał się potok myśli. Zasnąłem. A gdym się obudził, byłem już tak zdecydowany na zajęcie stanowiska, że postanowiłem — kazać zrobić swój portret.

Niepodobna<sup>11</sup>, ażebyś pan przed pięćmi laty nie zauważył na wystawie sztuk pięknych portretu mężczyzny w sile wieku, z białą, krótko ostrzyżoną brodą, a cerą dwudziestolatka. Tłumy, szczególnie kobiet, zatrzymywały się przed nim, i nieraz słyszałem uwagi:

— Patrz, jaka to czerstwa<sup>12</sup> cera...

— Jakie żywe oko...

— Prześliczny starzec!

To, panie, był mój portret, ukończony w miesiąc po stanowczej rozmowie z Ewcią. Muszę jednak dodać, że — starcem nazywają mnie kobiety tylko dla przekomarzania się. Czują bowiem i one we mnie, i ja sam w sobie — młodość od stóp do głowy; przedwczesna siwizna niczego nie dowodzi, ponieważ jest w naszej rodzinie dziedziczną. Mój ojciec już w pięćdziesiątym siódmym roku życia był siwy, syn (młokos!) znalazł kilka białych włosów, a nawet Ewcia, jak to nadmienilem, osiwiła również przedwcześnie.

## II

Może za wiele piszę o sobie; wybac pan, ale to tak miło rozpamiętywać swoje, choćby skromne zasługi, szczególnie wówczas, gdy człowiek ma obandażowaną nogę.

Nim zakomunikuję panu właściwą prośbę, muszę choć pokrótce wspomnieć o tym, jak pracowałem nad zdobyciem stanowiska w społeczeństwie, a także o tajemniczych wypadkach, które wplątały się do moich usiłowań.

Ostrzegam, że nie jestem przesądny i w cuda nie wierzę; owszem — jestem raczej sceptykiem. Mimo to historia mego kija, którą zaraz opowiem, przekonała mnie, a może przekona i pana, że — są rzeczy na ziemi, o jakich nie śniło się filozofom.

Przede wszystkim zobacz pan, jak zrobiłem znajomość ze swoim kijem.

<sup>11</sup>niepodobna (daw.) — nieprawdopodobne, niemożliwe. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>czerstwy — tu: zdrowy. [przypis edytorski]

Chodząc ulicami, mam zwyczaj spoglądać w okna sklepów. W ten sposób można zapoznać się z jakąś przystojną sklepową, upatrzeć tani prezent dla jakiejś cnotliwej i niewymagającej dziewczyny, a w najgorszym razie — można przejrzeć się w szybie, jak w lustrze. Nie jestem pyszałkiem, wyznam jednak, że lubię swoją fizjognomię<sup>13</sup>, a nie znoszę nieporządku w ubraniu. Podwinięty kołnierz, źle zapięty krawat, albo, broń Boże! plamka na klapie surduta, na cały dzień mogą mi zepsuć humor.

Podczas jednej wędrowki zauważyłem w oknie sklepu tokarza — bardzo ładną twarzyczkę. Zatrzymałem się, zacząłem udawać, że przypatruję się laskom, fajkom, szachom i dominom, rzucając jednak słodkie spojrzenie na piękną sklepową.

Nieznamoma dostrzegła oznaki mojej życzliwości, a nawet uśmiechnęła się znacząco. I właśnie, gdy podnosiłem rękę do kapelusza, aby złożyć jej ukłon, osłupiałem...

Między laskami w oknie była jedna czarna, posiadająca zamiast gałki — rzeźbioną główkę Murzyna. Prawdziwego Murzyna z czarną cerą, białymi zębami, ciemno-wiśniowymi wargami, a nade wszystko — ze szklanymi oczyma, które, lubo<sup>14</sup> trochę rozbiegłe, zdawały się mieć pozór życia i myśli.

Otóż w chwili, gdy podniosłem rękę do kapelusza, aby ukłonić się pięknej sklepowej, spostrzegłem ze zdumieniem, iż rzeźbiony na lasce Murzyn patrzy mi w oczy i — śmieje się na całe gardło. Przechylił się w tył, jakby miał upaść, szeroko otworzył grube usta i śmiał się ze mnie, no, ale tak, że gdyby był żywym człowiekiem, choćby Murzynem, musiałbym zażądać od niego wyjaśnień.

Nim otrząsnąłem się z przykrego wrażenia i przypomniałem sobie, że bądź co bądź jest to tylko rzeźbiona laska, sklepowa znikła.

Od tej pory często przechodziłem obok sklepu. Nieznajomej już w nim nie było, ale za to kij z gałką w formie Murzyna nabierał coraz więcej życia i wyrazu. Niekiedy zdawało się, że pochylony na prawo, rozmawia z laską, mającą na wierzchołku głowę starca. Innym razem, pochylony na lewo, zdawał się drwić z kija zakończonego końskim kopytkiem. Czasami zwracał grube wargi do zawieszanej obok cygarnicy, jakby chciał zaciągnąć się dymem papierosa. A innym razem znowu zdawało się, że — mnie poznaje.

Wówczas albo pochylał się do mnie, jakby kłaniając się, albo przykładał usta do szyby (może chciał mnie pocałować?), albo obrażony moją dla niego obojętnością, stał sztywnie<sup>15</sup> i patrzył gdzieś, na drugą stronę ulicy.

Nigdy nie używałem laski; idąc, trzymałem zwykle w prawej ręce rękawiczkę, i to mi wystarczało. Jednakże około sześćdziesiątego roku życia przyszła mi chęć sprawienia sobie kija. Nie dlatego bynajmniej, ażeby się podpierać, bo tego nawet dziś nie potrzebuję, ale — uważałem, że z kijem w ręku będę wyglądał poważniej. Doszedłem nawet do wniosku, że trzymanie złożonej rękawiczki stosownie jest dla mężczyzny tylko między dwudziestym a trzydziestym rokiem.

Pomimo tych uwag, nie wiem jak długo jeszcze decydowałbym się na kupno laski, gdyby nie okoliczność, że — zostałem członkiem Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami.

„Jużci — pomyślałem — zwierząt nie można protegować bez kija.”

I postanowiłem kupić sobie ów kij z główką Murzyna.

Nie wiem dlaczego, wchodząc do sklepu tokarza, uczułem nieco przyśpieszoną pulsację. Spoglądam za kontuar — nie ma pięknej sklepowej; miejsce jej zajmuje jakiś zataczony jegomość w okrągłych okularach. Patrzę na okno... Nie ma mego Murzynka!...

— Gdzie pan ma tę laskę z głową Murzyna? — spytałem tokarza. — Chcę ją kupić.

— Murzyna? — spytał. — A to dziwny traf! Nie ma kwadransa, jak kupił go jakiś pan. Ale znajdę dla pana dobrodzieja coś stosowniejszego: kij z dużą, gładką gałką...

— Dziękuję panu — odparłem i opuściłem sklep prawie z żalem.

Już mi nawet laski zaczynają porywać z przed nosa!

Co pan jednak powiesz?... Przechodzę obok sklepu na drugi dzień i — w oknie widzę znowu mego Murzynka. Pochylił się tak, że o mało nie rozbił szyby głową, i zdawał się szeptać do mnie z najwyższym niepokojem:

— Chodźże tu prędko, bo mnie jeszcze kto złapie...

Naturalnie wpadłem do sklepu, wołając:

<sup>13</sup>fizjognomia — wygląd twarzy, ciała. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>lubo (daw.) — chociaż. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>sztywnie — dziś popr.: sztywno. [przypis edytorski]

— Jest Murzyn!...

— A jest — odparł tokarz — i co za dziwny traf! Wczoraj, w pół godziny po pańskim wyjściu ze sklepu, ten pan, który kupił Murzyna, odniósł go na powrót i wymienił na kij z dziobem żurawia.

— Co kto lubi — odparłem. — Ileż pan chce za tego diabła?

— Niech będzie dwa ruble — rzekł tokarz.

Zapłaciłem dwa ruble, i od tej pory nie rozdzielamy się z moim Murzynkiem. Jeżeli się zaś kiedy rozdzielił z nim, to on zawsze sam do mnie wracał, nabawiając mnie przy tym mnóstwa kłopotów.

Jak już powiedziałem, nie jestem przesądny; myślę jednak, że w moim kiju pokutuje jakiś zakłęty diabeł, który nabrał do mnie osobliwej sympatii.

Posłuchaj pan bowiem, co mi splotała zaraz w kilka dni po przejściu na moją własność.

Zapomniałem dodać z początku, że jestem dość żywego usposobienia, ale łagodny. Pokłóciłem się z ludźmi parę razy, ale nie pamiętam, ażebym kogo uderzył, rozumie się — do chwili kupienia sobie fatalnego kija z murzyńską głową.

Tymczasem od dnia, w którym zamiast złożonej rękawiczki zacząłem nosić laskę, opanowała mnie jakaś dzika werwa. Idąc przez ulicę, nieświadomie ścisnąłem kij, a ścisnąjąc, z grzeszną satysfakcją myślałem... żeby nim kogo obłóżyć!... Jak przystało na członka Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami.

Otóż we trzy czy cztery dni po zrobieniu sobie nieszczęsnego sprawunku, idę Nowym Światem. Idę wyprostowany, silnym krokiem, i nagle uważam, że około mnie poczyna kręcić się jakieś dwuznaczne indywiduum, które w dodatku bezczelnie zagląda mi w oczy.

„Złodziej — myślę. — Ależ dam ci, jeżeli mnie zaczepisz...” W tej chwili, jakby na komendę, szarpie mnie ktoś za kieszeń. Odwracam się i widzę tego samego faceta z najniewinniejszą w świecie miną, jakby nigdy nic.

„Ach! Hultaju! — myślę sobie. Krew uderzyła mi do głowy, i machnąłem kijem na oślep.

— Jezus Maria! — wrzasnęło podejrzanego indywiduum. — A za cóż mnie wielmożny pan tak uczcił?...

— Kto jesteś, łotrze jakiś? — zawołałem, chwytając go za rękę.

— Cóż to?... Wielmożny pan nie poznaje mnie?... Przecież jestem Paweł, lokaj od pana Biedrzyńskiego... A pan mnie tak uszlachcił, że mi ledwo łeb nie pęknie.

Przypatrzyłem mu się uważniej... Prawda: to jest Paweł, lokaj od Biedrzyńskiego!

— Czegożeś się tak skradał, gamoniu?

— Bo mam list do wielmożnego pana od mego pana... O święty Józefie!...

— Więc czemużeś mi od razu nie powiedział?

— Com miał gadać, kiedy wielmożny pan zyrkał<sup>16</sup> na mnie spod oka, jakby na złodzieja.

Naturalnie dałem biedakowi trzy ruble i wnet uspokoił się. Swoją drogą otoczył nas tłum gapiów, i na ich żądanie musieliśmy pójść obaj do cyrkułu<sup>17</sup>. Tam spisano ze mnie protokół, a na drugi dzień „Kurier Poranny” ogłosił całe to zdarzenie i jeszcze zrobił ze mnie wariata!

Ile z tego powodu wysłuchałem od Ewci!... Nie mam nawet odwagi powtarzać. Już wówczas zacząłem podejrzewać świeżo kupioną laskę o fatalny wpływ na moje losy; ale gdy spojrzeł na głowę Murzynka i zobaczył jego minę zafrasowaną, a nawet przestraszona, wzruszyłem ramionami.

„Co za nierozsądek przypisywać czarodziejskie wpływy kawałkowi drewna? — rzekłem do siebie. — Wprawdzie głupstwo się stało, no, ależ kij temu nie winien. Owszem, okazał on dużo hartu w tym brzydkim zajściu.”

Nie potrzebuję dodawać, że po takiej awanturze stanowczo zniechęciłem się do obowiązków członka Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. Żadne stanowisko, żaden tytuł, ale za to ciągłe włóczenie się po cyrkułach z furmanami, którzy dręczą konie. Mam już dosyć cyrkułów.

<sup>16</sup>zyrkać (gw.) — zerkać. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>cyrkuł — posterunek policji w zaborze rosyjskim. [przypis edytorski]

Zapytasz pan: jaki u licha związek może mieć rola opiekuna zwierząt z pobiciem lokaja od Biedrzyńskiego? Czy ja wiem, panie?... Ten związek, żem się zniechęcił do opieki. W podobnych zaś wypadkach nie mam zwyczaju rozumować, ale idę za głosem przeczucia.

Ale, ale!... Zapomniałem opowiedzieć, kto jest Biedrzyński i jaka była treść listu, który w tak przykrych warunkach doręczył mi jego Paweł.

Będę zwiędły. Człowiek może mieć i nawet miewa dużo kochanek, ale przyjaciela — tylko jednego. Biedrzyński (ale Teofil Biedrzyński, bo znam ich kilku) jest takim moim przyjacielem.

Na stosunku naszym potwierdza się przysłowie, że przyjaźń możliwa jest tylko między ludźmi wprost przeciwnego charakteru. Istotnie, on i ja jesteśmy dwoma kontrastami.

On — stary kawaler, ja żonaty; on wiecznie słaby i kwękający, ja mam aż za dużo sił; on brzydki jak Mefistofeles, ja... Jaki ja jestem, najlepiej ocenił to sam Teofil, który ciągle mnie namawia, ażebym jechał do Krakowa i pozował Matejce do jakiego historycznego obrazu na senatora, hetmana, albo na króla!...

Muszę też dodać, że kiedy Teofil tak nie lubi kobiet, iż więcej widzi w nich złego, niż na to zasługują, ja tak je lubię, że zamykam oczy nawet na istotne wady. Dla dopełnienia zaś istniejących między nami sprzeczności, ja wciąż tęsknię do jakiegoś stanowiska i tytułu, jemu zaś najdoskonalej wypełnia życie jego kamienica, pobieranie czynszu od lokatorów albo wytaczanie im procesów.

Nie uchybię memu przyjacielowi, gdy jeszcze raz powtórzę, iż nie należy on do pięknych mężczyzn. Mały, chudy, ma żółtawe oczy i rysy drapieżnego ptaka. Ludzie nie znający go widzą w nim typ lichwiarza; w istocie zaś Biedrzyński większą część swego dochodu obraca na spłacanie poręczeń za długi, które zaciągnęli inni.

A jaka to prosta i uczciwa natura!...

— Proszę cię, dlaczego ten Fitulski nie kłania mi się na ulicy i jeszcze rzuca na mnie oszczerstwa?

— Cóż on mówi?

— Mówi: „Ja go znam!...” albo: „To jest ziółko!...”

— Pewnie dlatego, żeś za nim poręczył.

— Ależ ja to, com poręczył, najpункtualniej spłacam. Więc czego on chce?

— Właśnie to mu robi przykrość.

— Nie rozumiem — mówi Teofil.

— Ach! Ty niczego nie rozumiesz! Przypomnij sobie przysłowie: „Chcesz mieć wroga, pożycz mu pieniędzy”.

— Nie rozumiem... Ja przecież nie pożyczyłem mu, tylko za nim poręczył.

— No, daj mi już spokój — przerwałem.

Mój kochany Teofil nigdy tego nie zrozumie.

Na domiar jest on dziwnie łatwowierny, co stawia go nieraz w fałszywej pozycji. Była przecie nawet w naszych stosunkach taka epoka, że mi Bóg wie jakie o nim myśli przechodziły przez głowę.

Zajmuje się on gorliwie polityką, czyta wszystkie możliwe i niemożliwe gazety (odcyfrowuje nawet szpalty zamazane tuszem!) i z całego świata zbiera pogłoski. Nie ma chyba w Warszawie człowieka, który by tyle co on wytworzył kombinacji politycznych i co rok nie spodziewał się wojny.

— Zobaczysz — mówił każdej zimy — będzie...

— Na wiosnę? — przerywam, śmiejąc się.

— Na wiosnę?... Nie wiadomo; a może w czerwcu, albo w początkach lipca... Zobaczysz.

Otóż przed kilku laty był taki miesiąc, że mój przyjaciel, oprócz własnych politycznych kombinacji, począł mi znosić takie wiadomości, że mi od nich stawały włosy na głowie. Opowiadał mi, z miną tajemniczą i uroczyście, o jakichś nowych przymierzach i wojnach, cytując zawsze bardzo poważne źródła. Powieści swoje zaczynał zwykle w taki sposób:

— Dowiedziałem się dziś, przez trzecie osoby, od konsula niemieckiego...

Albo: — Słyszałem dziś, wprawdzie pośrednio, ale z ambasady francuskiej...

Niekiedy aż cierpłem. Gdym go zapytał: przez kogo odbiera podobne wiadomości, które w dodatku nigdy się nie sprawdzają? — podnosił w górę brwi i ramiona i odpowiadał:

— Nie mogę nawet ciebie objaśnić, dałem słowo...

Byłem pewny, że marnie zginie wśród nowych swoich stosunków, i dopiero wypadek przekonał mnie o źródle informacji Teofila.

Pewnego dnia zaprosił mnie Biedrzyński do restauracji, gdzie jadał od lat kilku. Wszedłszy do salonu, siedliśmy przy wspólnym stole, zajęтым już przez grono młodych mężczyzn, ilem zauważył, bardzo wesołych, ale trochę złośliwych.

Ledwie nam podano kartę i nakrycia, młodzi zaczęli między sobą szeptać w sposób, który wydał mi się demonstracyjny.

— Może panom przeszkadzamy!... — zapytałem nieco zirytowany.

— O nie!... Bardzo prosimy!... Miło nam widzieć panów między sobą...

I znowu szepty, z których, pomimo, że usiłowałem nie słyszeć, wpadły mi w ucho wyrazy: „Alfons... Bismarck<sup>18</sup>... detronizacja...”

Mnie, wyznając, cicha ta rozmowa wydała się nieprzyzwoita. Ze zdziwieniem jednak spostrzegłem, że Teofil jest nią zaintrygowany w wysokim stopniu. Słuchał, patrzył im w oczy, kręcił się i co chwila pytał:

— Co? Co?... Bo dobrze nie słyszę... A o mojego kolegę możecie być spokojni... To zacny człowiek, pan Ludwik Wesółowski.

Ognie uderzyły mi na twarz, kiedy usłyszałem podobną rekomendację. Zmieszałem się — jak sztubak<sup>19</sup>, jakbym stał wobec Ewci; to też bez najmniejszego protestu ścisnąłem wyciągnięte do mnie ręce młokosów, których nawet nazwisk nie pamiętam.

Przysiągłem sobie, że już noga moja nie postanie w tym towarzystwie; Teofil zaś, jakby nic nie zaszło, wciąż pytał:

— Więc co?... Więc co Bismarck?...

— Nic... Głupstwo! — mówił jakiś blondyn, z fizjonomią, która nie zdradzała wielkiego szacunku ani dla mnie, ani dla Teofila. — Prawie nic... Mówiono tylko w konsultacji, że Bismarck chce detronizować Alfonsa hiszpańskiego<sup>20</sup>.

— Nie rozumiem. Na co mu to?... — pytał natarczywie Teofil.

— No, jakże na co? W Hiszpanii rewolucja... Potem republika... Unia z Francją, potem z Włochami... Związek rzeczypospolitych romańskich.

— Nie rozumiem... Co Bismarckowi po unii romańskiej?

— Co?... Chce wywołać powszechną wojnę i zabrać 10-miliardową kontrybucję. To takie jasne, panie, takie jasne...

— Teofilu — szepnąłem — pieczeń ci wystygnie.

— Lubię zimną — odparł mój przyjaciel. — A więcej... Więcej już nic nie słyhać?

— Będzie dobrze! — odparł blondyn, podnosząc w górę widelec.

— Żartuje pan — westchnął Biedrzyński.

— Słyszałem to wczoraj z ust konsula hiszpańskiego.

— Konsula?... — powtórzył Teofil, kierując czerwone ze wzruszenia ucho w stronę mówcy.

— Tak. Leczę jego sekretarza na kamień. Wczoraj był u niego, przy mnie, konsul i spytał się: czy kamień już wyszedł? Odpowiadam, że jeszcze nie, ale za tydzień, to z pewnością — także nie wyjdzie. Wtedy konsul ścisnął za rękę sekretarza i powiedział: „Będzie dobrze”. Słyszałem to na własne uszy.

— Figlarz z doktora! — rzekł z uśmiechem mój przyjaciel. — Ale tak naprawdę co słyhać?

Podniosłem się z krzesła.

— Przepraszam cię, Teofilu — odezwałem się — ale... wyjdźmy stąd.

— Chory jesteś? — krzyknął Teofil. — Mamy doktora...

— Dziękuję ci, leczę się homeopatią... Tylko wyjdźmy...

<sup>18</sup> *Otto von Bismarck* (1815–1898) — niemiecki polityk, premier Prus, kanclerz Rzeszy Niemieckiej. [przypis edytorski]

<sup>19</sup> *sztubak* (daw.) — uczeń. [przypis edytorski]

<sup>20</sup> *Alfons XII Burbon* (1857–1885) — król Hiszpanii w latach 1874–1885. [przypis edytorski]



Zerwał się i, nawet nie płacąc rachunku, wybiegł za mną na ulicę. — Mój drogi — rzekłem mu — ci panowie kpili sobie z nas.

— Ale gdzieżby znowu!... Przecież to moi przyjaciele...

— Twój, ale nie moi — odparłem.

Szliśmy dalej w milczeniu.

— Wiesz co — nagle odezwał się Teofil — ja sam nieraz myślę, że oni z tą polityką trochę blagują<sup>21</sup>. Ale swoją drogą doskonale chłopaki! Nigdy nie mam takiego apetytu, jak w ich towarzystwie. Pomartwią człowieka, nastraszą, rozweselą, obudzą nadzieję — i... i jakoś lepiej trawi się obiad. Nie mam do nich pretensji.

Taki jest Biedrzyński, człowiek anielskiego serca, pomimo krogulczej fizjonomii.

Otóż list, za który jego biedny lokaj dostał kijem (dziś jeszcze wstyd mi!), pochodził od Biedrzyńskiego. Teofil radził mi, w sposób nagły, ażebym zapisał się na członka Towarzystwa Wzajemnego Kredytu, że niezadługo odbędą się wybory, i że przy pomocy jego (Teofila) i jego przyjaciół, mogę zostać członkiem zarządu, lub choćby komisji rewizyjnej. Donosił też, że sam leży w łóżku, gdyż ma katar.

Projekt ten podobał mi się. Juźci lepiej tytułować się: członkiem zarządu, aniżeli opiekunem zwierząt. Naturalnie zaraz pojechałem do cierpiącego Teofila i ułożyliśmy plan kampanii.

Odbyła się ona akurat w tydzień później, w Resursie Obywatelskiej, na zgromadzeniu ogólnym.

Gdyśmy weszli do dużej sali, było w niej już kilkuset mężczyzn, siedzących na ławach i krzesłach, jak w parlamencie. Niektórzy z tych panów rozmawiali o teatrze, albo o cenach zboża, jeden drzemał, jeden piłował sobie paznogie<sup>22</sup>, a jeden (ile mogłem wyrozumieć) dowodził płaczącym głosem, że skutkiem niedołęstwa czy złej woli zarządu, Towarzystwo musi zbankrutować, ponieważ w sprawozdaniu budżetowym znajduje się omyłka, wynosząca 2 ruble i 17 kopiejek.

— Któż zaś nam zaręczy, panowie! — biadał dalej mówca — czy na rok przyszyły cyfra ta nie posunie się o kilka miejsc wyżej i nie spowoduje omyłki o dwieście tysięcy, lub nawet o dwa miliony rubli?...

Po tych słowach obecni zaczęli bardzo hałasować, a najbardziej — siedzący przed nami otyły olbrzym. Był to człowiek w moim wieku z najeżonymi wąsami i fizjonomią tygrysa. Odpowiadając poprzednikowi, boleśnie udeptał swego sąsiada w nagniotek, Biedrzyńskiego trącił w piersi krzesłem, i niepytany ani upoważniony, krzyczał ogromnym głosem, że w tym zgromadzeniu nikomu ufać nie można, ani oponentom, ani zarządowi.

Wiele czasu upłynęło, nim dzwonek uspokoił zamieszki. Niektórzy, ziewając, zaczęli już wychodzić. Wtedy Biedrzyński pobiegł do prezydyjnego stołu i coś poszeptał z siedzącymi za nim dygnitarzami. Mimowolnie westchnąłem, pomyślawszy, jak poważnie wyglądałbym za takim stołem...

Niebawem wrócił do mnie zadyszany Teofil, wołając:

— Mów, mów!... Masz głos. Podałem cię na kandydata.

Jednocześnie prezydujący wezwał mnie do zabrania głosu.

Gdym powstał, jegomość z najeżonymi wąsami odwrócił się do mnie z krzesłem, i patrząc mi w oczy, zapytał Teofila:

— Cóż to za nowy Demostenes<sup>23</sup>?

Odgadłem, że będzie to przeciwnik mojej kandydatury do zarządu, lub przynajmniej do komisji rewizyjnej. Gniew zakipsał we mnie, ale jednocześnie uległem natchnieniu i postanowiłem zaimponować moim oponentom — wymową.

— Panowie! — rzekłem. — Wprawdzie w tym szanownym zgromadzeniu jestem człowiekiem nowym i nieznanym i, że tak powiem, jedną nogą jeszcze stoję wśród tej szerokiej publiczności, która stanowi ogół. Mam więc, zda mi się prawo, w imieniu tej publiczności, w imieniu narodu, podziękować zarządowi za jego uczciwą pracę...

— Ciekawym, kto go upoważnił do przemawiania w imieniu narodu? — zawołał jegomość z tygrysią twarzą.

Potem ziewnął mi w sam nos i hałaśliwie wyszedł z sali.

<sup>21</sup>blagować — klamać, zmyślać. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>paznokie — dziś popr.: paznokcie. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>Demostenes (384–322) — polityk i mówca grecki. [przypis edytorski]

Nieprzyzwoity ten postępek obecni skarcili wybuchem śmiechu. Byłem jednakże tak zirytowany, że — nie mogąc mówić dłużej — usiadłem.

— Pysnie zacząłeś! — szepnął Teofil. — Mów śmiało dalej.

— Ani myślę — odparłem. — Kto jest ten grubianin, który mi przerwał!

— Steinberg, pułkownik pruskich dragonów — objaśnił Teofil. — Trochę zawadiaka, ale w gruncie rzeczy dobry człowiek.

Chciałem biec za pułkownikiem pruskich dragonów i wyzwąć go na pojedynek. Ale zatrzymał mnie Teofil, do głosowania. Rzuciliśmy obaj kartki z nazwiskami naszych kandydatów, a gdy obliczono rezultat, okazało się, że — Teofil dostał jeden głos do komisji rewizyjnej, a ja także jeden do zarządu.

Usłyszawszy to, obecni znowu wybuchnęli śmiechem, co skłoniło mnie i Biedrzyńskiego do opuszczenia sali. Byłem wściekły i przysięgłem natychmiast wykreślić się z Towarzystwa.

Długo czekaliśmy w kontramarkarni<sup>24</sup>, nim po wielu krzykach i omyłkach wydano nam rzeczy. Któż jednak opisze złość, w jaką wpadłem, przekonawszy się, że mi wzięto nowe kalosze, a zostawiono stare, i... że zamiast mego Murzynka oddano mi jakąś laskę hebanową z psim łbem...

Murzynek mój zginął! Wróciłem późno do domu i całą noc nie mogłem zmrużyć oka, w części z powodu awantur na wczorajszym zebraniu, w części z żalu po kiju, do którego się przywiązałem.

Wtem, około południa, służący oddaje mi kopertę, w której znalazłem bilecik z nazwiskiem: „Pułkownik Jan Steinberg” i z następnymi słowami:

„Odsyłam pańską laskę, prosząc o zwrot mojej, hebanowej.”

Istotnie zgubiony Murzynek wrócił do mnie, ale w takich warunkach, że nawet nie mogłem się z niego ucieszyć. Jak to, więc ten awanturnik, Steinberg, naprzód sam zamienił mi laskę, a następnie przysłał mi impertynencki bilet?... Poczekać!

Siadłem i na swoim bilecie odpisałem:

„Odsyłam hebanową laskę, a zarazem stare kalosze, prosząc o zwrot moich, nowych.”

Szczerze byłem kontent<sup>25</sup> z tej zwięzłej i energicznej odpowiedzi. Uczucia moje jednak szybko się zmieniły, gdy w godzinę później zgłosili się do mnie jacyś dwaj panowie, a razem z nimi lokaj z pakietem.

Panowie przedstawili mi się, a jeden rzekł:

— Pułkownik Steinberg twierdzi, że pan posądził go o *rozmyślną* zamianę kaloszków. Stanisławie — zwrócił się do służącego z pakietem — pokaż kalosze pułkownika.

Wydobyto kalosze. Były one tak ogromne, że słoń mógłby w nich chodzić. Były z cholewami, a wewnątrz z cyframi Steinberga.

— Tak — rzekłem — to nie są moje kalosze.

Przeszliśmy do gabinetu, a jeden z dwu panów znowu zabrał głos:

— Więc przyznaje pan, że nadesłane kalosze nie są pańską własnością?

— To przecie jest widoczne.

— I gotów pan przeprosić pułkownika za wyrządzoną mu obelgę?

— Ani myślę! — zawołałem z gniewem.

— W takim razie da mu pan satysfakcję z bronią w ręku.

— I owszem — odparłem. — Pan Steinbok...

— Steinberg — poprawił jeden z przybyłych.

— Wszystko jedno — rzekłem cały drżący. — Pan Steinberg tyle razy obraził mnie, że, bez względu na mój poważny wiek, będę się z nim strzelał. Muszę...

— Czekamy więc pańskich sekundantów — odpowiedzieli ci panowie (a może tylko jeden z nich) i ukłoniwszy się uroczyście, wyszli.

Zaraz pojechałem do Teofila, z nim do starego majora Wilczyńskiego, który miał być drugim moim sekundantem, i posłałem ich pod wskazany adres.

<sup>24</sup>kontramarkarnia (daw.) — szatnia. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>kontent (daw.) — zadowolony. [przypis edytorski]

Późno wieczorem wpadł do mnie Biedrzyński. Nigdy nie widziałem go w stanie tak podnieconym. Zbudził się w nim nie tylko duch rycerski, ale nawet okrucieństwo.

— Wiesz? — mówił, machając pięściami — przyjęliśmy wszystkie warunki! Niech diabli porwą!... Może przynajmniej ty nauczysz rozumu tego drągala. Będziecie się strzelali pojutrze.

— To... To już nieodwołalny termin? — spytałem.

— Już podpisaliśmy protokół. Marsz do bariery, każdy strzela po dwa razy. Jeżeli ci dobrze pójdzie, z pewnością na przyszłych wyborach zostaniesz członkiem zarządu, bo tego Steinberga nikt nie lubi. No, dobranoc ci, mój złoty!...

Pożegnał mnie rozpromieniony. Późno ległem spać, i przez całą noc śniło mi się, że spadam z wysokości. Nigdy się tak nie zmęczyłem we śnie.

Nazajutrz znowu odwiedził mnie Teofil. Doniósł mi, że już są dobre pistolety i chirurg, ale zauważyłem, że trochę stracił werwę.

— Głupi interes — mówił. — No, ale trudno... Musimy się strzelać...

— Może... — odezwałem się — może sędzicie, że powinienem zrobić jakiś krok?

— Nigdy! — zawołał Teofil. — Właśnie mówiliśmy o tym z majorem. Jeżeli zgoda jest możliwa, to tylko na placu, gdy przejdiesz do mety, nie strzelając za pierwszym razem.

— A... A jeżeli on...

— Przeprósi cię? Nie, on tego nie zrobi!

— Domyślam się. Ale... jeżeli on wystrzeli, nim dojdziemy do mety?

— O to bądź spokojny — rzekł Teofil. — On z pewnością będzie cię przetrzymywał... To wściekle zwierzę, nie człowiek.

Uczułem taki dreszcz w wargach, że musiał ścisnąć zęby.

— Więc — odezwałem się po chwili — może by zrobić jakiś krok pojednawczy?...

— Teraz nigdy, skompromitowałbyś się. Na pojednanie jest zawsze czas, więc najlepiej zrobić to na placu, po przyjściu do bariery bez wystrzału. Tak robią wszyscy dzentelmeni.

Uściskał mnie i wybiegł zamówić dwie karety. Drugą — „na wszelki wypadek...”

— Bodaj was pioruny zatrzaskły! — mruknąłem, gdy już był za drzwiami. — Czego u diabła ten Biedrzyński jest taki nieugięty na punkcie honoru, gdy chodzi o mnie? Ja powinienem być nieugięty, a do niego należy mitygować<sup>26</sup>.

Nie powiem, że bym się bał, albo żeby rady mojego przyjaciela nie były słuszne. Ale jego zaciętość gniewała mnie; bo im więcej zachęcał do zgody, tym mocniej oburzyłem mnie na Steinberga i podniecił do walki.

W dzień pojedynku byłem spokojny, jak nigdy. Nie mogłem wyobrazić sobie, ażeby sprawa między dwoma ludźmi poważnymi, w towarzystwie czterech innych ludzi poważnych, miała zakończyć się tragicznie. Irytowałem się tylko zapasową kareta, którą mój przyjaciel ciągnął za nami na plac.

Bądź co bądź, około południa znaleźliśmy się wszyscy na polu walki, w pewnym zamiejskim parku.

Ukloniliśmy się naszym przeciwnikom, oni nam, i spojrzeliśmy po fizjognomiach. Steinberg sapał jak byk, Biedrzyński był błądliwy i co chwila biegał między drzewa; ja zaś (mówię bez przechwałek) czułem się zupełnie spokojny. Spokój ten przeszedł nawet w dziwną apatię, gdy usłyszałem stukanie nabijanych pistoletów.

Świadkowie wybrali plac na łączce, otoczonej gęstymi drzewami. Wymierzyli odległość i na barierze z mojej strony wbili w ziemię Murzynka. Był on zwrócony twarzą do mnie, i teraz dopiero spostrzegłem, że mu wypadło jedno oko...

„Gdzie mogło podziać się to oko?” — myślałem.

Postawiono nas na metach, dano w ręce pistolety i stary major zaczął coś mruzczyć pod nosem. Ale co? — nie rozumiałem.

„Gdzie mój Murzynek podział oko?” — snuło mi się po głowie.

W tej chwili przybiegł do mnie Teofil.

— Nie strzelaj za pierwszym razem. Na barierze proponujemy zgodę — szepnął.

— Wszystko mi jedno.

<sup>26</sup>mitygować — powstrzymywać od zbyt gwałtownego działania. [przypis edytorski]

— Baczność! — odezwał się sekundant Steinberga zakatarzonym głosem, a po chwili dodał — Drugi strzał w dziesięć sekund po pierwszym... Panowie *awansują*... Marsz! ...

Machinalnie ruszyłem z miejsca, lecz spojrzawszy na mego Murzynka, nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu. Hultaj miał taką minę, jakby, przymrużywszy jedno oko, celował do mnie z błazeńskimi grymasami. W tej chwili usłyszałem przykry świst koło ucha. Podniosłem oczy. O kilkanaście kroków przede mną stał gruby Steinberg, otoczony obłokiem niebieskawego dymu.

— Jedna sekunda!... Dwie sekundy!... Trzy sekundy!... — wrzeszczał zakatarzony tenor.

— Strzelaj, Ludwiku! — wołał Biedrzyński.

— Ognia!... Pa! — komenderował major.

Zacisnąłem pięść, w której tkwił pistolet. Szarpnęło, huknęło, poczułem zapach siar-ki...

— Zuch dziad! Jeszcze mógłbyś służyć w dragonach! — krzyknął wielkim basem Steinberg, ująwszy się pod boki.

Przypadli do nas świadkowie i doktorowie, a Teofil z płaczem rzucił mi się na szyję:

— Nie wiedziałem, że jesteś taki bohater!... — szlochał.

Milcząc, uściśnąłem go: zdawało mi się, że w tym uścisku obejmuję całą ludzkość.

W tej chwili zbliżył się Steinberg; zgniótł mi rękę swoją ogromną łapą i z grubiańskim śmiechem zawołał:

— No, stary, daj pyska!... Mowami swoimi możesz sobie — zapalać fajkę, aleś zuch... Kiedyś mi się roześmiał przy barierze, chciałem ci w łeb palnąć. Nieszczęściem, za dużo piję i grywam w bilard, więc mi drgnęła ręka... Daj pyska z drugiej strony!

Ucałowałem go grzecznie, ale bez zapalu. Nie jestem faryzeuszem, aby twierdzić, że robią mi przyjemność karesy<sup>27</sup> człowieka, który przed minutą godził na moje życie.

Przy tym: jaki niesmaczny koncept nazywać mnie dziadem!...

Świadkowie zapakowali pistolety, chirurgowie swoje narzędzia (jeden z nich, wysoki i kędzierzawy blondyn, ostentacyjnie wkładał w futerał kleszcze położnicze) i — zabraliśmy się z powrotem do naszych karet. Już widać było za zielonymi krzakami czarne pudła powozów i lakierowane kapelusze woźniców, kiedy nagle — stanąłem.

— Gdzie mój kij?... Znowu zgubiłem Murzynka!...

— Pewno został na mecie — odezwał się sekundant Steinberga.

— Pał go diabli! — zawołał Steinberg. — Idźmy, panowie do Stępka, bom okrutnie głodny.

— Natychmiast was dogonimy — odparłem, zawracając ku łączce.

Teofil przyłączył się do mnie.

— Daj spokój — mówił — nie warto tracić czasu dla tak brzydkiego kija. Dam ci w prezencie lepszy.

Nie odpowiedziałem mu, lecz przyśpieszyłem kroku. Jak to? Miałbym się wyrzec Murzynka, który wywołał ten sławny pojedynek i tak dzielnie sekundował mi przy barierze?... Nigdy!

Nie doszedłszy do łączki, zetknęliśmy się z kilku chłopami i małym pastuszkciem. Chłopiec trzymał w ręku Murzynka.

— Moja laska! — zawołałem.

Chłopi stanęli, a jeden odezwał się:

— To panowie strzylali w parku?

— Śni ci się, człowieku! — zawołał Teofil i nieco pobladł.

Wystąpiłem naprzód.

— Ten pan nie strzelał — rzekłem do chłopów, wskazując Biedrzyńskiego — tylko ja. Miałem pojedynek.

— No, to pan zapłaci za krowę — odparł chłop.

— Za jaką krowę?

— A za tę, co ją pan ubił. Piankne było bydlę, warte ze sto rubli.

<sup>27</sup> karesy — pieszczoty. [przypis edytorski]

Naturalnie poszliśmy do krowy, która nie była zabita, tylko raniona w łopatkę. Znalazła się nawet kula, którą przy nas najstarszy chłop wyjął spoza skóry zwierzęcia tępyym kozikiem.

Targ w targ, daliśmy chłopom sześć rubli za krowę, pastuszkowi dwadzieścia groszy za znalezienie mojej laski, a w godzinę później u Stępka piliśmy ze Steinbergiem bruderszaft<sup>28</sup>.

Przy tej okazji Teofil zrobił awanturę, i dopóty wyzywał na pojedynek najmłodszego subiekta<sup>29</sup>, dopóki nie spadł z krzesła i nie zasnął na podłodze. Chciałem go przenieść na kanapkę, ale sił mi zabrakło; zresztą całą uwagę zaprzętał mi Murzynek i rozstrzygnięcie pytania: czy mój kij jest dla mnie pożyteczny, czy szkodliwy? Że bowiem wpływał na moje losy, było aż nadto widoczne.

Gdy wróciwszy do domu, opowiedziałem Ewci o pojedynku, żona zrobiła mi scenę krótką, ale nadzwyczajną.

— Pojedynkowałeś się?... Tak, musiałeś; to było twoim obowiązkiem...

W następnej jednak chwili dostała serdecznego płaczu, a zawoławszy Mieczysława i młodszą córkę Ludkę, naprzód nakazała obojgu, aby mnie w sprawach honorowych naśladowali, a potem uklękła przed Miciem i zaklęła go, ażeby nigdy nie pojedynkował się, jeżeli nie chce wpędzić jej do grobu.

I do dziś dnia nie wiem, drogi panie, czy, według opinii mojej żony, zrobiłem dobre, czy źle z tym pojedynkiem... Raz bowiem mówi mi Ewusia, że strzelać się miałem obowiązek (szczególnie obowiązki, notabene w małżeństwie!), a innym razem nadmienia, że do śmierci nie zapomni mi pojedynku...

Mądry, kto z kobietami dojdzie do ładu!

Myłisz się pan jednak, sądząc, że na tym kończą się piekielne figle mego kija i niepoakoje domowe. Mój Murzynek zrobił mi jeszcze parę takich szpasów<sup>30</sup>, że szczerze byłbym kontent, gdyby mi go kto ukradł, porąbał i rzucił w ogień. Sam boję się zrobić mu coś podobnego.

Nim opowiem, co mi znowu zmalował, i nim przejdę do właściwej prośby, jaką mam do pana, muszę wspomnieć o wypadku, skutkiem którego Ewcia zabroniła przestępować naszego progu — Biedrzyńskiemu!... Tak, panie: Teofilowi Biedrzyńskiemu, jedynemu przyjacielowi, jakiego posiadam na ziemi!

Pewnego razu przyszedł on do nas wieczorem. Czekaając na herbatę, usiedliśmy w moim gabinecie, przy drzwiach, prowadzących do salonu. On, jako mały, siedział na krześle, ja — na fotelu.

Tymczasem, robiąc przygotowania do kolacji, kręciła się po całym mieszkaniu nowo przyjęta panna do towarzystwa Ludki, osoba młoda i zapewne przystojna, bo nawet nie miałem czasu jej się przypatrzeć.

Otóż, było prawie ciemno, kiedy koza<sup>31</sup> ta biegła przez mój gabinet do salonu. Obaj z Teofilem, gdy wpadła między nas, unieśliśmy się trochę z siedzeń, na znak uszanowania; a ten, panie, smarkacz, jak wrzaśnie... Wielki Boże! ze trzydzieści lat nie słyszałem takiego krzyku...

— Co to? — zawołał przestraszony Teofil, zrywając się z krzesła.

— Pewnie zasłabła — odparłem.

Ale byłem tak zmieszany, że machinalnie posadziłem Teofila na fotelu, a sam zająłem jego krzesło.

— Czy ona nie cierpi epilepsji<sup>32</sup>? — pytał troskliwy Biedrzyński. — Biedne dziecko...

W tej chwili weszła do nas Ewcia ze świecą. Była blada, oczy jej płonęły. Bystro spojrziała na fotel, gdzie siedział Teofil i — rzekła do mnie drżącym głosem:

— Przepróż, Ludwiku, pana Biedrzyńskiego, że herbaty dziś u nas nie będzie. Mademoiselle<sup>33</sup> zachorowała, oboje musimy jej pilnować, a że i Ludka nie siądzie do stołu, więc przepróż...

<sup>28</sup>*bruderszaft* — ceremonialny toast towarzyszący przejściu na „ty”. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>*subiekt* (daw.) — sprzedawca w sklepie. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>*szpas* (pot.) — zabawna sytuacja. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>*koza* (daw., pot.) — młoda i głupia dziewczyna. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>*epilepsja* — padaczka. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>*Mademoiselle* (fr.) — panna. [przypis edytorski]



Ukloniła się piecowi, który stał na przeciw drzwi, i odeszła, pełna groźnego majestatu. Nigdy nie wydał mi się tak piękny jej imponujący wzrost i wdzięczne ruchy.

— Nie rozumiem! — wyszeptał odurzony tym ciosem Teofil. — Zdaje się, że pani Ewa wypędziła mnie z domu?...

— To przejdzie — rzekłem.

— Ale nawet nie wiem za co? — dodał, chwytając pudełko cygar, zamiast swego kapelusza. — Czyżby Fitulski oczernił mnie przed panią Ewą?...

— To przejdzie, to przejdzie... — upewniałem, żegnając go czule.

On, biedak, wyszedł od nas na palcach, i zerwawszy z kołka swój paltot, wymknął się na schody, przez drzwi tak wąsko otwarte, jakby był nie większy od szczura.

Po jego odejściu, a raczej haniebnej ucieczce, ukazała się Ewcia po raz drugi.

— Czy wiesz — rzekła — co zrobił ten nędznik?... Zaczepił mademoiselle... U mnie, w moim domu...

— Może to nie on, cóż znowu? — wtrąciłem i ugryzłem się w język.

— Więc chyba ty? Nie przypuszczam jednak, ażebyś był tak nikczemny; zresztą nie siedziałeś na fotelu.

— Może... Może sama się potrąciła o fotel.

— Dosyć! — przerwała Ewcia. — Nie zmuszaj matki swoich dzieci do szczegółowych wyjaśnień tego wstrętnego czynu. Od dziś dnia noga Biedrzyńskiego nie postanie w naszym domu, a ty daj mi słowo, że zerwiesz z tym bezwstydnikiem, który zbeczczył moją powagę, a i ciebie może wciągnąć we własne brudy.

— No, widzisz... — zacząłem.

Ale spostrzegłszy, że Ewcia znowu blednie, dałem słowo, że będę unikał Teofila.

Łatwiej jednak obiecać, niż dotrzymać. Już na drugi dzień odwiedziłem biednego przyjaciela, który rozchorował się z żalu, a następnie odwiedzałem go co parę dni.

Teofil miał dom na Lesznie. Zwykle więc siadałem w tramwaj i dojeżdżałem prawie do drzwi jego mieszkania. Trwało to z miesiąc.

Pewnego dnia dużo biegałem po mieście. Byłem u Teofila, w banku, u Stępka, w Ogrodzie Saskim i, w jednym z tych miejsc, znowu zgubiłem... Swój kij!...

— Teraz zjadł śledzia na dobre! — pomyślałem. — Trzeba albo chodzić bez laski, albo sprawić sobie nową.

Któż jednak opisze moją radość, a potem przestrasz, gdy nazajutrz, w czasie obiadu, jeden z urzędników tramwajowych odesłał mi... mego Murzynka z kartką:

„Znaleziony w tramwaju na Lesznie.”

Kartka ta dostała się przede wszystkim w ręce Ewci. Przeczytawszy ją, zwróciła na mnie lodowate spojrzenie i, niby niechcący, spytała:

— Co, Ludwiku, robiłeś wczoraj na Lesznie?

— Ja? Na Lesznie?... Ja?... Już z miesiąc...

— Już wiem, Ludwiku — przerwała Ewcia, podając mi kartkę, i na tym skończyło się przy obiedzie.

Po obiedzie zaś — nie gadała do mnie przez cały tydzień, nie zaniehbując jednak tłumaczyć dzieciom, że uczciwy człowiek zawsze dotrzymuje słowa, i że ludzie, którzy nie dotrzymują słowa, są ludźmi godnymi politowania.

Myślałem, że zwariuję przez ten tydzień. Zaczyna kobieta, spokojna, taktowna, wzór żon i matek, ale jak zacznie moralizować — żywcem wkopałbym się pod ziemię.

To też nikt się chyba nie zdziwi, gdy powiem, że nieraz brałem swoją laskę do gabinetu i — wymyślałem jej na czym świat stoi. Tym razem przecie i ślepy dojrzy, że tylko diabelski Murzyn narobił mi kłopotu.

Myślisz pan, że to już koniec jego intrygom?... Panie, śmiertelny wróg nie spłatałby mi podobnego figla, jak ta bestia!

Przede wszystkim muszę dodać, że bez względu na jego podłości, poszedłem do toka-rza, gdzie go kupił i kazałem wprawić murzynowi nowe oko. Majstra w sklepie nie było; natomiast znalazłem ową miłą dziewczynkę, której niegdyś przypatrywałem się przez okno.

Posiedziałem w sklepie z pół godziny, wyściskałem sklepowej rączki, dowiedziałem się, gdzie mieszka. I oto między mną a nią zawiązały się serdeczne, choć czysto idealne stosunki, właśnie — dzięki mojemu Murzynkowi.

Byłem tak zadowolony, że nawet puścił w niepamięć jego dawniejsze sprawy.

Znajomość nasza ze sklepową trwała do połowy zimy. Widziałem, jak dziecko to przywiązuje się do mnie, jak korzysta z moich rad, z jaką wdzięcznością przyjmuje drobne podarunki. Dziewczątka czyste i niewinne, jak łą.

Jednego dnia spotkałem Józia na ulicy i spędziłem z nią parę godzin „Pod Kometą”, ostrzegając o sidłach, zastawianych na niewinność przez lekkomyślną młodzież albo zepsutych starców. Rozmarzony, wróciłem do domu około północy i dopiero na schodach spostrzegłem, że... znowu zgubiłem Murzynka!

Ewcia jeszcze nie spała.

— Gdzie byłeś, Ludwiku?

— Na operze.

— Cóż grali?

— *Fausta*.

— Znasz go przecie.

— Ale zawsze lubię go posłuchać. Dobranoc, głowa mnie trochę boli.

Serdecznie ucałowałem Ewcię, ale duszę nurtował mi niepokój.

„Zobaczcie — myślałem — że ten przeklęty murzyn znowu narobi mi zmartwienia!”

Zasnąłem późno i późno obudziłem się na drugi dzień. Gdy zaś o jedenastej usiedliśmy z dziećmi do śniadania, Ewcia odezwała się niby tak sobie:

— Wiesz?... Odnieśli ci twoją faworytalną<sup>34</sup> laskę.

Myślałem, że zemdleję; w oczach mi pociemniało. Nareszcie, zdobywszy się na ostatni wysiłek, zapytałem dosyć ostro:

— I któż odniósł moją laskę?

— Woźny z Teatru Wielkiego — odparła Ewcia.

Tego już było za wiele. Przez cały czas śniadania nie śmiałem ust otworzyć.

Gdy Ludwika i Mieczysław wstali od stołu, Ewcia odezwała się nieco przyciszonym głosem:

— Twoją laskę przyniósł kelner z restauracji „Pod Kometą”. Z osobnego gabinetu.

Gwałtownie odsunęła krzesło i wyszła.

Schwyciłem kij, i wsiadłszy w dorożkę, pojechałem „Pod Kometę” z zamiarem polamania Murzynka na grzecznym kelnerze. Ale człowiek ten rozbroił mnie jednym słowem.

— Tyś odniósł mój kij do domu? — zapytałem go.

— Ja, jaśnie panie.

— A... A kto ci powiedział, gdzie mieszkam i kim jestem?

— O! — uśmiechnął się — jaśnie pana zna całe miasto. Wszyscy wiedzą, że pan zabił pułkownika.

— Pułkownik Steinberg żyje...

— Ten może i żyje, ale tamten, co go jaśnie pan gołnął w brzuch, wcale nie żyje. Sam przecie byłem na pogrzebie.

„Przekłęta popularność! — pomyślałem. — Nawet gniewać się nie mogę na tego osła”.

— A na drugi raz — rzekłem, dając kelnerowi rubla — nie bądź taki usłużny i niczego nie odnoś mi do domu.

— Nic nie odniosę choćbym znalazł pulares<sup>35</sup> jaśnie pana — odpowiedział bezczelnie patrząc mi w oczy.

— No — rzekłem do siebie, zakończywszy z kelnerem — wobec Ewci jestem bez ratunku zgubiony; ale za to przekonałem się dziś, że już mówi o mnie cała Warszawa. O wyższym stanowisku nawet marzyć nie można.

<sup>34</sup>faworytalny (daw.) — ulubiony. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>pulares (daw.) — portfel. [przypis edytorski]

Było to akurat w karnawale. Stosunki nasze z Ewcią przez cały tydzień wlokły się w sposób nieokreślony. Nie robiła mi wymówek, odzywała się rzadko i obojętnie; słowem, czuć było nadchodzącą katastrofę. Może zażąda separacji?...

Raz, kiedy siedząc na szeszlunku, trzymałem w ręku „Figaro”, a myślałem o czym innym, usłyszałem w salonie jakiś szmer, a potem głos Ewci:

— Proszę cię na chwilę, Ludwiku.

Wchodzę... Oślupiałem... Boże miłosierny! Ależ w moim salonie, obok mojej żony, widzę Józję tokarkę, a za nią jakiegoś dryblasę...

— Ludwiku — rzekła Ewcia — młodzi narzeczeni przyszli podziękować ci za posag...

I gdy ja stałem bez ruchu, jak Niobe, rozpaczająca po dzieciach, Józja cmoknęła mnie w jedną rękę, a dryblas w drugą. Potem oboje upadli do nóg Ewci, która wręczyła Józji pięć sturublowych papierków i sznur koralu.

Po chwili narzeczeni wyszli, błogosławiąc nas, a Ewcia zwróciła się do mnie:

— Oj ty dziadzie, ty stary dziadzie!... I komu to tu świat gubić!

— A teraz, duszko — odezwałem się skromnie — chyba wierzysz w moją niewinność?...

— O niewinności tej dziewczyny nigdy nie wątpiłam — odparła Ewcia.

I co pan powiesz: na tym skończyła się cała awantura!... Tak przecie byłem wzruszony szlachetnością Ewci, tak zgnębiony jej pobłażaniem, że rozchorowałem się na gastryczną gorączkę, która na tydzień przykuła mnie do łóżka.

Serce kobiety, panie, a mianowicie serce Ewci, na wieki pozostanie dla mnie zagadką.

A swoją drogą mój kij — jest ostatniego rzędu gałgan, i nawet powiem panu, że straciłem dla niego wszelką sympatię.

### III

Teraz, poznawszy kim jestem i jakich dziwnych przygód doświadczyłem w życiu, z całą łatwością odgadniesz pan: na czym polega moja prośba?

Ale... jeszcze jedno drobniuteńkie zboczenie<sup>36</sup>.

Dziwnym zbiegiem wypadków, urodziny moje przypadają 15 kwietnia, w dzień św. Ludwika. Okoliczność ta w oczach wyrozumiałego człowieka usprawiedliwiłaby wiele moich wykroczeń; a że Ewcia jest bardzo wyrozumiała, w tym więc dniu uroczystym wybaczyła mi wszystkie błędy.

Przekonałem się o tym, zobaczywszy w południe, w naszym domu, nieszczęśliwego Teofila, do którego Ewcia napisała list własnoręczny. Biedak uściskał mnie tak gorąco, jak wówczas na polu walki; następnie zaś począł przeproszać moją żonę (za to chyba, że go niegdyś wyгнаła), tłumacząc sobie, że pewno Fitulski narobił na niego plotek. Już to obawa jakowychś intryg Fitulskiego była chorobą Teofila.

Nie koniec na tym. Ewcia bowiem w dniu urodzin spełniła moje najpiękniejsze marzenia, ofiarując mi: autentyczny londyński parasol, arcydzieło parasolniczego kunsztu.

Cudo to kosztowało ze 40 rubli. Miało srebrne okucia, a rękojeść w formie dwóch ściskających się rąk, także srebrnych — *massiv*. Na jednej ręce był wryty mój monogram w laurowym wieńcu, na drugiej data pojedynku.

Niepodobna było w delikatniejszy sposób okazać mi, że nieporozumienie z „Pod Komety” było zapomniane, a także — złożyć hołdu mojej odwadze. To też upewniam pana, że gdyby mi kiedy cały naród na Placu Teatralnym ozdobił głowę dębowym wieńcem, chyba nie oceniłbym go tak wysoko, jak — ten parasol, darowany mi przez Ewcię.

Stał się on dla mnie najdroższą pamiątką, symbolem moich drobnych zasług i małżeńskiego szczęścia.

Zwykle, na co dzień, chodziłem po mieście z moim Murzynkiem, życząc mu, aby prędzej kark skręcił.

Lecz pamiątkowego parasola używałem tylko na uroczyste wizyty, albo na jakieś wyjątkowo ważne zebrania.

Najważniejszy w owej epoce wypadek stanowiła sprawa honorowa między dwoma młodzieńcami, którzy mieli stoczyć śmiertelny pojedynek. Położenie zaś było takie, że

<sup>36</sup>zboczenie — tu: dygresja. [przypis edytorski]

— naprzód jeden nie miał ochoty walczyć, potem drugi, a potem obaj; należało więc obmyślić inną satysfakcję.

W tym celu, w mieszkaniu pułkownika Steinberga (obecnie mego najlepszego przyjaciela) zebrał się sąd honorowy z pięciu osób. Prezesem zaś tego sądu, prawie jednomyślnie, byłem wybrany — ja — panie...

Jest to rzecz niemałej wagi. Od tego bowiem wypadku wszyscy tytułują mnie prezesem, a kochana Ewcia czuje się zupełnie zadowolona i nawet dumna z mojej popularności i stanowiska.

Nie potrzebuję wspominać, że nad ciężką tą sprawą męczyliśmy się trzy dni, i dopiero w czwartym, około wieczoru, przyjęto mój wniosek, ażeby: obaj przeciwnicy podali sobie ręce. Co się też stało, a młodzieńcy jednoznacznie oświadczyli, że tylko wielka cześć dla moich zasług i powagi zmusza ich do schylenia głowy przed podobnym wyrokiem. Ciekawym jednak: co by zrobili, nie przyjąwszy go?

Rozumie się, że na każde z tych posiedzeń brałem swój pamiątkowy parasol.

Czwartego dnia, natychmiast po wyroku, Steinberg zaproponował nam, sędziom i rozsądzanym, małą wycieczkę do Marcelina. Ponieważ był to środek maja, a żona moja wyjechała do starszej córki, przyjęliśmy więc propozycję z należnym uznaniem. Trzy powozy ruszyły naprzód, a ja z jednym z młodzieńców skręciłem na chwilę do domu, ażeby przebrać się, wziąć mój codzienny kij, a zostawić pamiątkowy parasol, który bynajmniej nie kwalifikował się do majówek.

Towarzyszący mi wbiegł za mną na górę, pomagał przebrać się i tak często nazywał mnie prezesem, że wychodząc z przedpokoju, niedobrze wiedziałem, jak jestem ubrany i co biorę z sobą.

W Marcelinie bawiliśmy się do północy, a bawiliśmy się tak, że przez telefon musiano zamawiać świeżego szampana z Warszawy. Dostyc gdy powiem, że moje zdrowie pito ze dwanaście razy, nie uchybiając innym współbiedniakom.

Wracałem do miasta lekkim powozikiem ze Steinbergiem. On przez całą drogę śpiewał albo komenderował szwadronem, a ja, przytrzymując kolanami swoją fatalną laskę, zarzuciłem ręce za tył głowy i marzyłem.

Marzyłem to o domu, który na lato opuściła Ewcia, udając się na wieś, to o córce, która miała mnie pocieszyć wnukiem, to znowu o przygodach mego życia... Najczęściej jednak przychodził mi na myśl mój przeklęty kij — i jego psoty.

— Pobitem nim niewinnego człowieka... Naraziłem się na pojedynek... Zdradził mnie gałgan tyle razy, a nie wiadomo jeszcze, co mi zrobi w przyszłości... Trzeba z nim raz skończyć.

I marząc tak o moim kiju, z wolna odchyliłem kolana. Kij zaczął skakać, jakby zawiadamiając o grożącym mu niebezpieczeństwie, uderzył mnie parę razy w nogę, i nareszcie... wysunął się z powoziku.

— No, już teraz nie wrócisz do mnie, zdrajco! — szepnąłem, czując taką ulgę, jakby mi z serca spadł ciężar.

W kwadrans stanęliśmy przed moim domem. Steinberg spał. Nie chcąc budzić go, zręcznie wyskoczyłem z powoziku i... zwichnąłem sobie nogę w kostce!...

— Jedź! — zawołałem na stangreta.

Ledwie się dodzwonił, zgrzytając z bólu. Zaspany stróż wywindował mnie na schody i obudził lokaja. Gdy zapalono światło, posłałem służącego po doktora, a sam usiadłem w przedpokoju na krześle, jęcząc.

Wtem... włosy stanęły mi na głowie, a ból na chwilę ustąpił... W kącie, obok lustra ujrzałem... mój przeklęty kij, ten sam kij, z główką murzyną, który mi niedawno wyleciał z powoziku!

Zacząłem wołać i pukać. Przybiegła pokojówka i kucharka.

— Co to jest? — spytałem, wskazując murzynka.

— Ten kij? To laska jaśnie pana — odparła kucharka, myśląc, że jestem nietrzeźwy.

— Skąd się tu wziął?

— Stał tu ciągle.

— Jak to stał? Przecież wziąłem go z sobą do Marcelina!

— Nie. Jaśnie pan do Marcelina wziął parasol, a kij wciąż tu stoi — objaśniała kucharka

Sprawiedliwe nieba!... A zatem zgubiłem, i to zgubiłem rozmyślnie, mój pamiątkowy parasol, a ten gałgan Murzynek został! Co powie Ewusia?

Zapukano do drzwi; lokaj przyprowadził doktora i felczera<sup>37</sup>. Nastawili mi nogę, obandażowali, obłożyli lodem. Ale nawet nie czułem bólu, wyłącznie zajęty straszną myślą, że zgubiłem parasol, i... co o tym powie Ewusia?...

A teraz — chyba zupełnie odgadłeś pan moją prośbę? Więc zaklinam cię na wszystko, co wielkie i święte: zrób o moim parasolu ogłoszenie. Napisz, że parasol ten stanowi drogą pamiątkę i że gotów jestem zapłacić znalazcy choćby 50 rubli. Ale ogłoś swój adres, a mego nazwiska nie wymieniaj, bo inaczej Ewusia dowie się o wszystkim.

Parasol!... Pamiętaj pan — parasol!...

*Post scriptum.* Właśnie kiedy skończyłem list niniejszy, odwiedził mnie Steinberg. Nie mogłem powstrzymać się od przeczytania mu tego interesującego utworu.

Kochany pułkownik śmiał się, aż mu oczy zachodziły łzami, szczególnie słuchając ustępów, poświęconych jego osobie.

Skończywszy czkanie, zapytałem: co o tym sądzi?

— Pyszny jesteś, prezesie! — zawołał. — Więc ty, przy pojedynku, śmiałeś się ze swego kija, nie ze mnie, a ja... chciałem cię zastrzelić. Doskonała pomyłka!...

— Ale — rzekł po chwili — widzę, że diabelnie starzejesz się, kochany prezesie...

— Skądże znowu ten szczególny wniosek?

— Nieszczególny, ale bardzo prosty. Zamiast napisać w dwu wierszach „Zgubiłem angielski parasol, ze srebrną rączką taką i taką — a znalazcy dam 50 rubli nagrody” — ty, prezesie, pleciesz, jak stara baba, o całej dywizji wypadków, nie mających żadnego związku z parasolem. Co prawda, jesteś, prezesie, skończony filister<sup>38</sup>, a do tego... chory na gorączkę — dodał, uderzając mnie z całej siły w kolano.

Osądźże pan teraz bezstronnie: czy Steinberg nie jest grubianinem? Ale nade wszystko — nie zapominaj o moim pamiątkowym parasolu”.

Na tym kończą się przygody p. Wesolowskiego, tudzież jego kija.

Starość

<sup>37</sup>felczer — osoba wykonująca proste zabiegi medyczne. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>filister (pogardl.) — mieszczuch. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/prus-pan-wesolowski-i-jego-kij>

Tekst opracowany na podstawie: Bolesław Prus, Nowele Warszawskie, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Londyn 1946

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Doroty Kowalskiej.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Koziół, Aneta Rawska, Paulina Choromańska, Paweł Koziół.

ISBN 978-83-288-0748-8

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.